

## *Anita*

Budzi mnie ciche szuranie. Zupełnie jakby jakiś gryzoń dobierał się zębami do dna łóżka albo ostrzył pazury na drewnianej ramie. Mam ochotę krzyknąć, ale tylko zakrywam usta ręką i unoszę głowę z poduszki. Zawsze panicznie bałam się myszy, te ich paciorkowate oczy i długie, cienkie ogony przyprawiają mnie o torsje. Gdzie jest Pozytywka? Szuranie przybiera na sile, spoglądam kontrolnie na Adama, śpi, zanurzony w swoich słodko-dziecinnych marzeniach. Nienawidzę go za tę beztroską twarz. Zerkam w dół, nie widać intruza. W zasięgu wzroku mam jedynie nowe, idealnie dobrane do koloru szlafroka puchate pantofle, które przez ułamek sekundy jawią mi się jako bliźniacze szczury dumbbo, by po chwili znów stać się zwykłymi, pozbawionymi uszu kaptami.

Jestem już dość rozbudzona, aby się zorientować, że źródłem dźwięku nie była mysz. To ten wkurzający sąsiad z dołu, domorosły rzeźbiarz, stuknięty artysta. Wozi windą kłoc drewna, powyginane konary drzew i nigdy po sobie nie sprząta, zostawiając zieloną, omszałą korę na podłodze. A potem hebluje, piłuje i nie wiem, co jeszcze, zawsze robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Tak jak teraz. Szur, szur,

szur, szur. Wstaję, owijam się szlafrokiem, idę do przedpokoju, biorę szczotkę i zaczynam stukać w podłogę trzonkiem. Mocno, coraz mocniej. Przybiega Pozytywka. Zaciekawiona moim porannym ożywieniem, ociera się o nogi, unosi pyszczek. Nie przestaję stukać, tak samo jak on nie przestaje szurać, zobaczymy, kto wygra. Adam siada na łóżku ze wściekłą miną.

– Odbiło ci?! – krzyczy. – Przestań!

– Niech on przestanie – odparowuję, ale na moment zastygam z miotłą w ręce, nasłuchując odgłosów z dołu.

– Czy wiesz, która godzina? – pyta, zerkając na komórkę.

– Wiem – odpowiadam. – Ale najwyraźniej on nie wie. – Puk-puk-puk, sąsiad przechodzi do drugiego etapu pracy, z użyciem młotka. Zaciskam ręce na szczotce i z całych sił uderzam kijem w podłogę.

– Boże! – Adam próbuje przebić się przez hałas. – Ale ci odpierdala.

Wstaje i idzie w stronę łazienki. Patrzę na jego muskuluarne ciało, zwichrzone włosy, i ściska mnie gdzieś w środku. Kiedyś było inaczej, kiedyś się kochaliśmy, każdego ranka, bez wyjątku, bez względu na dzień tygodnia i porę roku. Na początku naszego razem. O szóstej pięćdziesiąt moje dłonie spoczywały na jego ciepłej skórze, a nie na zimnym kiju od szczotki. Właśnie tak wyglądał pierwszy rok naszego małżeństwa. Byliśmy szczęśliwi, nieświadomi wiszącego nad nami widma katastrofy. Zachłannie oddawaliśmy się codzienności, pracy, podróżom, drobnym i większym przyjemnościom. Życie było proste, a my czerpaliliśmy z niego wszystko, co najlepsze. I wiem, że ten stan mógłby trwać dłużej, gdybyśmy pewnego wieczoru nie

zaczęli starać się o dziecko. Takiej decyzji nie podejmuje się między jedną filiżanką kawy a drugą, dorasta się do niej powoli. Z czasem dojrzewa w naszej głowie, aż osiągnie rozmiary głębokiej pewności. I wtedy, gdy wspólnie wypowie się ją na głos, nie ma odwrotu. Rezygnacja nie oznacza zmiany stanowiska, to totalna katastrofa.

Tak, przechodzimy kryzys, nie da się ukryć, od jakiegoś czasu nam się nie układa. Nie nazywamy rzeczy po imieniu, tolerujemy się, ale z każdym dniem oddalamy się od siebie. Każdą najmniejszą komórką ciała czuję, że mój mąż przestaje mnie kochać. A może już mnie nie kocha? Kiedy ta myśl znów pojawia się w mojej głowie, nieruchomieję z miotłą w objęciach. Patrzę na światło w przyrnglonych okienkach drzwi łazienkowych, na jego poruszającą się sylwetkę, i czuję, że będę wymiotować. Siadam na skraju łóżka i ukrywam twarz w dłoniach. Muszę się powstrzymać, nie chcę robić scen. Gdy między nami jest źle, a pojawiają się dobre wspomnienia, robi się niebezpiecznie.

Wstaję, pochylam się nad rzuconą niedbale szczotką, ale nim zdążę jej dotknąć, z dołu uderza kolejna fala dźwięków. Mam wrażenie, że ktoś papierem ściernym wygładza pofałdowane powierzchnie mojego mózgu. Wiem, że dłużej nie wytrzymam tej złości, frustracji i zmęczenia, gromadzących się we mnie od miesięcy. Podchodzę do łazienki i naciskam klamkę. Zamknął się od środka, wcześniej nigdy tego nie robił, sikał przy drzwiach otwartych na oścież. Opierał się lewą ręką o ścianę wysoko nad głową, aby zachować równowagę, drugą ręką kontrolował strumień moczu, a ja zapadałam się w niego. Popijałam kawę i studiowałam idealne proporcje jego ciała. Karmiłam się

tym widokiem każdego ranka i czułam się szczęśliwa, będąc częścią jego świata.

– Otwórz! – Szarpię za klamkę.

Posłusznie otwiera. Wymijam go i pochyłam się nad sedesem. Kilka prób, gardłowe odgłosy, nic poza tym. Podnoszę głowę i widzę, jak jego twarz nagle z pełnej złości zmienia się we współczującą.

– Czy to możliwe? – pyta.

– Co? – Podnoszę się z kolan.

– Że tym razem się udało.

W jego niebieskich oczach widać nadzieję. Czarne, ogromne źrenice zalewa fala radości.

– Nie, kurwa. Niemożliwe.

Wycieram usta papierem toaletowym. Wymijam go znowu i wychodzę z łazienki. Kiedyś nie przeklinałam, teraz klnę jak szewc. Tak, zmieniłam się, wiem, rozeszłam się w szwach, ale nie mam siły dłużej z tym walczyć. Z moją bezpłodnością, brakiem kontroli nad sobą, rzucaniem na każdym kroku mięsem, trudno, jestem teraz właśnie taka.

Wchodzę do kuchni, wyrzucam zwitek papieru do kosza na śmieci i włączam ekspres. Ogarnia mnie wściekłość. Jak może myśleć, że tym razem się udało? Nie umie liczyć czy jest tak głupi, że wierzy w jakieś cudowne, przedziwne, niekontrolowane szczęśliwe poczęcie? Ja już dawno przestałam wierzyć – w jakiegokolwiek poczęcie. To prawda, wciąż próbujemy, ale ja straciłam nadzieję. Naiwność też ma swoje granice. Myję dwie filiżanki, które wyłowiałam z tony brudnych naczyń zalegających w zlewie. Robię tak od kilku dni, może nawet tygodni, myję to, co jest potrzebne, reszta leży upaprana w oczekiwaniu na swoją kolej. To do mnie niepodobne, wszak jestem porządniszą,

niepoprawną pedantką. To też się jednak z niewiadomych powodów zmieniło. Owszem, wpadam jeszcze czasem w szal sprzątanania, tak jak wczoraj, gdy chusteczką do drewna polerowałam podłogę w sypialni. Działam wtedy jak w transie, muszę czymś zająć myśli, jednak przymus ten znika tak raptownie i niespodziewanie, jak się pojawił. I niestety od kilku tygodni tego nagłego przyływu energii nie wystarcza na kuchnię. Tylko patrzeć, jak Adam przy-czepli się do tego syfu i znów się pokłócimy, przynajmniej to nam ostatnio dobrze wychodzi.

Wycieram filizanki w ręcznik papierowy, ustawiam je pod kolbą wypełnioną kawą importowaną z Papui-Nowej Gwinei i naciskam włącznik. Przyjemny warkot i kojący zapach. Wpatruję się w brązowy płyn ciekący po porcelanowych brzegach. Kątem oka widzę wchodzącego do kuchni Adama. Jest ubrany w granatową koszulę i o ton ciemniejsze spodnie. Staje za mną, odwracam się w jego stronę, przez chwilę taksujemy się wzrokiem. Nie jest w tym dobry, zazwyczaj to ja wygrywam i ten pojedynek również należy do mnie. Na moment spuszcza głowę, a potem spogląda na mnie.

– Przepraszam.

Wyciąga rękę w moim kierunku, próbuje mnie dotknąć, ale się cofam. Kolba ekspresu wbija mi się w plecy, jednak nie ruszam się, patrzę, jak się odwraca i odchodzi.

Nie chcę, żeby tak było. Kocham go i pragnę tak mocno jak dawniej. Robię krok do przodu i wchodzę w pustkę, którą po sobie zostawił, wypełnioną jego zapachem, mieszanką cynamonu, goździków i piżma. Chciałabym, żeby mnie przytulił, żebyśmy zaczęli się kochać, nieważne, że nie oprócz przyjemności z tego nie wyniknie. Poprawka, teraz

nie ma już nawet przyjemności. Odwracam się, otwieram lodówkę, wyjmuję mleczko, ubijam je w spieniaczu i wlewam do filiżanek.

– Kawa – mówię, stawiając tę dla niego na kuchennej ladzie.

– Nie trzeba – odpowiada. – Wypiję w pracy.

Bierze do ręki aktówkę, przerzuca marynarkę przez ramię i wychodzi, nie patrząc na mnie. Mam ochotę rzucić za nim filiżanką i tylko wizja sprzątanego bałaganu mnie powstrzymuje. Siadam na krześle, ukrywam twarz w dłoniach i próbuję się opanować. Pozytywka kręci się przy moich nogach, przypominając, że czeka na śniadanie. Powoli wypuszczam nagromadzone w płucach powietrze, oddycham głęboko. Za chwilę wszystko wróci do normy, wezmę prysznic, zjem śniadanie i zabiorę się do pracy. Wieczorem wróci Adam, porozmawiamy, przecież go potrzebuję, nie chcę się z nim kłócić. Gdy czuję, że już prawie się uspokoiłam, że jestem w stanie wziąć się w garść, umyć zęby i się ubrać, znów to słyszę. Szur, szur, szur, szur. Chwytam filiżankę i rzucając ją w ścianę. Pozytywka ucieka z kuchni ze zjeżonym ogonem, porcelana spada z hukiem na podłogę, kawa powoli ścieka po ścianie. Wybiegam z mieszkania, zbiegam po schodach, przeskakując po dwa stopnie, dopadam do drzwi sąsiada i walę w nie pięściami.

Czuję ból, ale nie przestaję. Tego mi trzeba, rozładowuje mnie to i dziwnie odpręża.

Po drugiej stronie korytarza otwierają się drzwi. Wychodzi z nich obrzydliwie zadbana i uśmiechnięta kobieta, gaworząc coś miło do swojej małej córeczki. Na mój widok staje osłupiała. Co, nie podoba jej się mój szlafrok? Zastania sobą dziewczynkę, gdy ponawiam serię uporczywego

pukania. Pomalowane różową pomadką usta wykrzywiają się w niekontrolowanym grymasie. Obdarzona pełnym oburzenia spojrzeniem, mam już ochotę coś jej powiedzieć, gdy drzwi wreszcie ustępują pod moim naporem i staje w nich ten wkurzający artysta, przepasany jakimś paskudnym fartuchem.

– Co pani wyprawia?

Słyszę szpilki stukające głośno na schodach, cudowna lalunia zbiega po nich z dzieckiem na rękach.

– Ja wyprawiam? – Kipię ze złości. – Przestań hałasować!

– Słucham? – Wybałusza na mnie swoje rybie oczy. – To pani hałasuje.

– Szur, szur, szur, szur! – Przekrzywiam głowę to w jedną, to w drugą stronę. – Oszaleję, jeśli nie przestaniesz.

– To moja praca – tłumaczy.

– Masz przestać – cedzę przez zęby.

– Bo co mi zrobisz? – Za moim przykładem młodzieniaszek przechodzi na ty.

– Wezwę policję.

– Proszę bardzo – mówi. – Dochodzi ósma rano, nie zakłócam ciszy nocnej, mogę w swoim domu robić, co mi się podoba. Odwal się! – dodaje na koniec i zatrząskuje mi drzwi przed nosem.

Mam ochotę ponowić atak, ale się powstrzymuję. Czuję, jak bolą mnie knykcie, oglądam je i zastanawiam się, czy będzie na nich widać siniaki. Czy ludzie mogliby pomyśleć, że to Adam mi je zrobił? Mój cudowny mąż mnie bije, to by dopiero była nowina. Kiedy naciskam guzik przywołujący windę, jej drzwi od razu się otwierają. Na podłodze znów widzę kawałki kory i trociny. Wściekłość przybiera

na siłę, następnym razem wysypię zawartość kuwety Pozytywki na jego wycieraczkę, obiecuję sobie w myślach.

Gdy wysiadam na swoim piętrze, zauważam, że zostałam otwarte mieszkanie. Wchodzę do środka, przekręcam klucz w zamku, opieram się plecami o drzwi i osuwam na podłogę. Przez moment przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze.

Wyglądam żałośnie. Włosy sterczą każdy w inną stronę, zupełnie jak w szczotce, która leży przede mną na środku przedpokoju. Muszę się wziąć w garść, przecież kiedyś potrafiłam być inna. Podnoszę się, wchodzę do łazienki, rozczesuję kołtuny i wiążę włosy w wysoki kucyk.

Wracam do kuchni. Plama na ścianie przybrała kolor kupy. Kucam i zbieram kawałki porcelany. Lubiłam tę filiżankę, kupiliśmy ją podczas jednego z naszych cudownych wyjazdów na początku związku. Wyprofilowana na kształt Krzywej Wieży w Pizie, cienka japońska porcelana, trochę mi jej szkoda, ale tylko trochę. Skoro nic nie zostało po naszej cudownej relacji, to i po cudownej filiżance nic nie może zostać. Ściereczką wycieram brązową plamę ze ściany. Podchodzę do lady. Kawa Adama jest prawie zimna, ale wypijam ją jednym haustem do dna, zupełnie jakby to był kieliszek wódki, a nie droga, egzotyczna kawa domagająca się należytej sobie uwagi. Otwieram lodówkę, wyjmuję karmę dla kota. Pochyliłam się nad miską Pozytywki, szeleszczę aluminiowym opakowaniem, ale nie przybiega. Zawsze kręci się pod moimi nogami, a teraz się gdzieś schowała. Musiała się naprawdę przestraszyć. Nienawidzę siebie za te ataki złości, nie pierwszy raz coś takiego mi się zdarza. Często w momentach niezadowolenia robię dziwne rzeczy, walę pięścią w stół, klnę lub kopię w ścianę.



Wcześniej nie podejrzewałam, że jest we mnie tyle agresji. To zupełnie niezależne ode mnie, po prostu dzieje się ot tak, mimo woli.

– Po! – krzyczę. – No chodź!

Cisza. Idę do pokoju, nie ma jej, zaglądam na półkę ze swetrami, na której często śpi.

– Pozi – powtarzam.

Nadal nic. Otwieram drzwi do łazienki, szafę w przedpokoju.

– To nie jest śmieszne, wyłaź.

Nie ma jej. Zaczynam biegać po domu, wołam ją, otwieram wszystkie szuflady w komodzie, pralkę, zaglądam nawet do kosza z brudną bielizną. Mieszkanie wygląda jak po przejściu tornada, jednak nigdzie nie ma kotki. Nagle uzmysławiam sobie, że musiała uciec przez drzwi, które zostawiłam otwarte, zbiegając do tego palanta na dole. Wypadam na klatkę. Biegnę na górę, potem na dół, krzyżąc:

– Po, Pozi, gdzie jesteś?!

Mężczyzna, którego mijam na schodach, obdarza mnie zde gustowaną miną. Nienawidzę ludzi za to ich ocenianie, ciągle szufladkowanie każdego, nawet nieznanego sąsiada. Jego spojrzenie jest tak wymowne, że stoję w połowie schodów. Nie obchodzi mnie, co o mnie myśli, ale jest młody, przystojny i faceci nigdy w taki sposób na mnie nie patrzą. W ich oczach zawsze znajduję pożądanie, podziw, aprobatę.

– Uciekł mi kot – tłumaczę. – Czy nie widział pan rudego kota?

Jego twarz momentalnie się rozjaśnia. Ha, ha, ha, a już myślał, że ma do czynienia z psychopatką.

– Jest na górze. – Uśmiecha się. – Wygląda przez okno.

– Dziękuję – mówię, posyłając mu uwodzicielskie spojrzenie. Wymijam go i wbiegam po dwa stopnie. Pozytywka siedzi na ostatnim piętrze, na małym okienku wychodzącym na ulicę, i obserwuje gołębie spacerujące po parapecie.

– Pozi – biorę ją na ręce – nie uciekaj więcej pańci. Kto będzie mnie bronił przed myszami? – szepczę jej do ucha, krocząc korytarzem w stronę mieszkania.